



<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

949
A.

ŚWISTEK.

Δ

ΣΕΠΤΕΜΒΡΙΩΣ

Egz. archiwalny IBL

A.

ŚWIŚTOK.

.... en obra destinada
Solo al gusto y diversion;
Si no se varia la invencion,
Todo lo demas es nada.

VRIARTE.

Krzysztof Kowski, Józef
SPIRYDYONA WĘDZEGI.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH I
BIBLIOTEK
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

NAKŁADEM WYDAWCY.

WILNO

DRUKIEM TEOFIŁA GLÜCKSBERGA.

1845.

<http://rcin.org.pl>

Печатать позволено съ тѣмъ, чтобы по
отпечатаніи представлено было въ Кіевскій Цен-
сурный Комитетъ узаконенное число экземпля-
ровъ. Кіевъ, 1843 года, Марта 24-го дня.

Ценсоръ, Коллежскій Советникъ
Орестъ Новицкій.

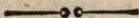


N. F. 4067

OGŁOSZENIE.



ŚWISTEK śród papierowych ŚWISTKÓW.



cena prenumeracyjna dwa złote polskie.

OGŁOSZENIE

WYSTAWA

Mądry znajdzie naukę w jedném nawet słowie,
Znajdzie sobie przestrożę pod najlichszą fraszką;—
Tysiąc mądrych rozdziałów czytaj próżnej głowie,
Dla niej mądrość najwyższa czcżą będzie igraszką.

K. BRODZINSKI.

Świstek wśród papierowych świstków poświstywać będzie po wileńskich ulicach. Bo cóż ma robić, kiedy dziś wszystko już uczone, wszystko uczeni, ani przystępu! On sobie zajrzy czasami do cukierni, czasem do kawiarni, niekiedy do Nowickiego a rozparłszy się w boki, niby jaki pan hrabia, i do Tyciusowej, świszczypalka zawita.

O! tak, tak, moi Czytelnicy! Jest-to próżniak do niczego! Lubi spoziérać i tu i ówdzie; lubi niekiedy wymknąć się i na wieś, jeśli mu z Estetyką pasportów udziela. Z niemi on i za wileńską granicę do Rygi, do Odessy, do Gdańska, do Lwo-

wa i w prawo i w lewo, po całej przestrzeni od morza do morza, przechadzać się będzie. Jest-to Czytelnicy moi, gość ni proszony ni dziękowany; jest-to natręt i wścibski; wszędzie się urodzi choć go nie posiejesz!

Świstek, wśród świstków, w czystej, skromnej i przystojnej, chociaż niepięwszego kroju, zawsze podobnej do tej w której teraz występuje sukmance, przyrzekając łaskawym pokazywać się Czytelnikom, wszystkich do księgarni Glücksberga, Zawadzkiego, i wszędzie gdzie tylko po książki ciekawi ludzie, rozumie się z pieniędzmi, przychodzi zwykli, zaprasza. Dobrzebyło było, żebyście się od razu, w pięciuset przynajmniej, zebraли! Za każdą chęcią oglądania nowego zjawiska, przed wysztafirkowaniem się jeszcze Świstka, po dwa złote, każdy z osobna, Czytelnicy moi przynosicie; bo inaczej go nie zobaczycie. Przychodzącym

bowiem, bez dostatecznej kwalifikacji, machina umyślnie na to przyrządzona, drzwi bardzo zręcznie przed samiuteńkim..
No! prawdziwie, trochę niegrzecznie; ale cóż robić, kiedy dziś nie darmo!

Wystrojony zaś i oglądany już przez innych Świstek, wszyscy którzy się opóźnią z żółwią ciekawością swoją, za podwójną cenę widzieć go wszakże będą mogli.

Świtek wśród świstków, po każdej reprezentacji, krój tylko szaty zatrzymując, głowę i substancją odświeżać przyrzeka. Co głowa, to rozum! W każdej głowie, dwoje oczu; a każde oko inaczej widzi! a każde ucho inaczej słyszy! a każdy język inaczej bredzi! Co za różnaitość! aż miło wspomnieć! Chodźcie więc, Czytelnicy, chodźcie!!

Świtek wśród świstków tak na różnaitą pogwizdując nótę, serce wszakże jedno, starodawne, uczciwe, stałe i wier-

ne, jak Pan Bóg przykazał, mieć będzie. Żadne go burze nie zmieniają. Chodźcie, Czytelnicy, chodźcie!!

Świstek wśród *świstków*, mając przed szanowną, czytającą *Publicznością* (z nieukami nie chce mieć do czynienia!!) kiedy niekiedy; bo nie jest, nie życzy sobie i nie będzie *fiksatem* chociażby może *similes simili voluerint* w nim *gaudere*, — występować: zamówił sobie niżej podpisanego, przyzwoitości i dobrego tonu dozorcę. Do niego zatem w sprawach tuzinkowych i nie tuzinkowych *Świstka*, wszyscy jak do najrzetelniejszego, daj Boże na długo, pełnomocnika, udawać się mają. Mieszka on w Wilnie przy bernardyńskiej ulicy w domu Czyżowój; a na znak swojej w służbieniu gotowości, własną się ręką podpisał.

W Prawdomówce 20 stycznia 1843 roku.

SPIRYDYON WĘDZEGA.

PROŚBA.



Świat nasz—dziwnie rozmaity!

Patrzaj na dół, patrz wysoko:

Tu lepianka włazi w ziemię,

A tam pałac harde ciemię,

Zaledwie dogoni oko,

Wystrzelił w niebios błękity.

Tu znużony biędny chłopek,

Szczupty ciągnie z pola snopek,

By mógł pożywić rodzinę,—

Tam karéta w odwiedzinę

Wlecze pysznego Magnata.

Szampan w kryształach zaszumił,

Niby coś, nieuk! rozumi,

Szepcze o marnościach świata.

*Chłopek biedny w dymnej izbie,
 Lub siedząc latem na przyzbie,
 Wodą pragnienie ugasza —
 Trudził się zrana do nocy,
 Aby do pańskiej karocy
 Sześć gniadoszów wysztymtował.
 Gorąco biedak horował
 I dziękuję nie odebrał,
 A Pan wszystkie plony zebrał
 I jak najzimniej rozprasza!*

*To są ludzie — Zwróćmy oko
 Czy to na dół, czy wysoko,
 A dowód znajdziem odkryty —
 Że świat dziwnie rozmaity!*

*Równa ziemia — na jój łożono
 Stał kobierców rozścielono.
 Tu od haftarki Natury
 Pierwszy wrost wiosny synek,*

Tu lilija, tam barwinek,
Tu i jaskier złotopióry
I bławatek i stokrotka,
Tu i Fijałka dewotka ()*
Kryje oko przed widzami;
A tulipany tłumami
Otaczają skromną pannę;
Masz tu rutę, masz dziewannę.

Tysiąc jeszcze jest dokoła —
Lecz kto wszystkie zliczyć zdoła?...

(*) W Noworoczniku przed kilką laty wydanym w Warszawie, jedna z Szanownych Auterek starała się dowieść, że Fijolek, skromny i przyjemny mężczyzna, koniecznie, wedle grammatykalnego nawet kodeksu, do Płci pięknej należeć powinien. Niech tak będzie!

*Mimo przejdziem — Rzeka płynie
 W pośród kwiatów po dolinie.
 Bieży dalej — szła zdaleka —
 Brzegi oba pną się w górę,
 Żłote, szare, ciemne, bure.*

*Patrz, w dali, sarna ucieka,
 Przez pagórki, przez parowy;
 Bo w gęstwinie wilk się kryje,
 I towarzysów na łowy
 Przyzywając, głodny wyje.*

*A głupia, bez serca, sowa
 Szydzić z wszystkiego gotowa,
 Na dowód, że się nie stracha,
 Huczy swoje cha cha! chachu!*

*Słownik piosnkę tkliwą dzwoni;
 Podrzeźniacz małpować rady*

Także układa ballady;
 Dzieciotek siedząc w ustroni
 Muzykiem być się uważa
 I melodią do nich stwarza.

Na niebiosach jasno było —
 Wtém znagła się zachmurzyło —
 Chmura za chmurą się toczy,
 Słońce zniknęło z przed oczy;
 Wicher szumi, grad szeleszcze,
 Nawalne leją się deszcze;
 Piorun bije za piorunem;
 Błyskawice krwawém łunem
 Rozrywają smolne chmury —
 Powraca cichość natury
 I jasne słońce wróciło! — — —

Zewnętrznego przyrodzenia
 To blade, setne, odcienia!
 Gdyby się komu zdarzyło

Pochwycić wewnętrzne cuda!...
Łzy — westchnienia — straszna nuda —
Radość — śmiechy — i pustota —
Występki — zbrodnie — i cnota —
Wszystko, wszystko po kolei,
Wśród rozpacz i nadziei,
Okręślaćby musiał biedny!

Ktoż-to nie wie, że sam jeden
Nie potrafiłby wydołać?...

Pozwólcieź siebie przywołać
Wszyscy pismienni Panowie!!
Przyszléjcie każdy po słowie,
Czy-to prozą, czy wierszami;
Wszystko, ogłoszę Świstkami,
Co będzie z dobrem Współbraci —
A BÓG Wam za to zapłaci!! —

PRZERYS

ALFRESKÓW.

Paukocisde teosocraus vada...
icy - vetch, sanis - drauzna wudu -
Rolus - ...

Trzeba wyznać jak było.....

FR. KARPÍŃSKI.

W K R E W

Wszystko u siebie staję!
Kto to nie wie, że sam jestem
Niepotrzebny i niechciany!
Pamięć ciębie przepadła
Wzrosty plimienia Karmoski!
Przymiśnij kabilę po słowu,
By ty prozą, czy wierszem,
Wszystko, co było w świecie,
Do życia z dobrocią przyniesiesz -
Aż tak! Wam i tak wstanie!



JESTEM sobie pan Prezes! a panowie Prezesi, jak wiadomo, są bardzo rozmaitej miary i dostojęństwa. Jest pan Prezes akademicki; jest P. Pr. Izby cywilnej; jest P. Pr. Izby kryminalnej; jest P. Pr. Izby skarbowej; jest P. Pr. Miasta; jest P. Pr. sądów takich i owakich; jest P. Pr. Konsystorski; jest P. Pr. kalwińskiej Jednoty; jest P. Prezes... Ale któż wyliczyć zdoła wszystkich tych WW. i JW. PP. Prezesów! Dość tobie mój Czytelniku wiedzieć, iż ja jestem sobie

jeden z tych P. Prezes. Wielmożność i Jaśnie Wielmożność zostawuję tobie do woli. Sam co zechcesz dodaj, bądź łaskaw. Nie mam w sobie ja P. Prezes najmniejszej próżności. Bo też u nas tytuły wszelkie zawsze prawie dowolne i jak bardzo od niektórych pożądane, tak też bardzo mało, albowi też nic nie znaczące.

Otoż, jak już powiedziałem, jestem sobie po prostu P. Prezes. Chodzę sobie w baranięj czapce na głowie, w baranięj bekieszce na grzbiecie, w baraniach butach, w baraniach rękawiczkach, w baranim fraku, w baranięj kamzelce; słowem we wszystkiém baraniém. Nie idzie zatém mój dobry Czytelniku, ażebyś miał się domyślać, że u mnie głowa, lub jakakolwiek inna część mojego dla mnie najdroższego ciała, jest barania. Broń Boże! U mnie głowa, nogi, ręce, oczy, nos; słowem cały jestem taki jak i ty. Bo jeżeli z odzienia o ludziach zechcemy sądzić, to wszyscy bez wyjątku byliby baranami. Fraki najpiérw-

szych elegantów, podług najpiérwszój paryzkiój mody, czyż nie z barana?... Nie będę się dłużej nad tém zastanawiał. —

Otoż, ja sobie, taki P. Prezes, robię... robię... nie nie robię! czyli niczém się nie zajmuję. O! *com'è dolce il non far niente!* Mawiała zawsze nieboszczka matka. Boże! świeć nad jój duszą! Była Włoszka; a któż nie wie, jak Włosi, Włoszki i Włoszeta; słowem, wszyscy Italezykowie rozumni i rozumne. Z samego dzieciństwa a już po włosku rozmawiają! Picia i jedzenia potrzebują nie wiele. Otoż w tém tylko ja P. Prezes, zupełnie do nich nie podobny, chociaż krew płynie w żyłach moich włoska prosto po kądzieli. Lubię, przyznam się, otwartość; bo na cóż, prawdę powiedziawszy, z temi, co wszystkim już wiadome, tać się przymiotami?... Otoż szeczérze i otwarcie wyznaję, iż lubię jeść wiele i aż po gardło nalewać. To tylko dla mnie konieczne wiele i wiele; nad gatunkami i rodzajami zastanawiać się

nie lubię. Z tego więc powodu, odwiedziwszy po dwudziestu latach nie widzenia się z niém, kochane Wilenko, najczęściej wszystkie interessa u panny Giertrudy załatwiam. Kto nie był w Wilnie, zapewno ciekawy będzie z tą zaeną zapoznać się matroną.

Panna Giertruda, jestto osoba, sama już sobie około lat czterdziestu licząca, średniego wzrostu; niezmiernie otyła; z podgardlem wiszącém, wydętym straszliwie gorsem, z wysypanémi pod nosem wąsami, oznaką i długoletniego w panieńskim wytrwania stanie, i że niegdyś brunetką, handel powszechnie prawie dziś uczęszczany, zakładała.

Ubiera się najczęściej panna Giertruda w płócienkową, białą z różowém, w kratki, suknią; z fartuszkim czarnym, perkalowym, na przodzie znakomicie wydętym, którego nie raz zamiast chustki do nosa, przez roztargnienie, zażywa; pęk duży kluczków za pasem: olbrzymi czépek, wielą kanarko-

wych wstążek ozdobny, na głowie; z pod którego popielate, roztrzepane, a niegdyś czarne wyglądają włosy.

Panna Giertruda, przemawia zwykle kaczkowatym głosem do posługujących dziewcząt; wydaje górne rozkazy braciom współzatrudnikom w zawodzie, a niekiedy ilością rozdaną dla tak nazywających się gości, *napachawszy się wódki*; drzemiąca za przybytkiem dostojenstwa swojego. Oto masz, Kochany Czytelniku, nie zapomniéj tylko w dużych, brudnych i przydeptanych trzewikach, nózek, całkowity obraz panny Giertrudy.

Bracia jój — tylko mniejsza o nich! Oni w handlu nie wiele znaczą, na cóż mam ich opisywać? Wspomnę wszakże, iż starszy w szarój kapocie, szyję niezmiernie grubą, zawsze białą nawija chustką i kołnierze na umyślnie przyczepiane, nadzwyczajnie za brodę, pod uszy, daléj i wyżej nawet, dla dystynkcii jakiegóś zapewno, wystawia.

Otoż ja P. Prezes, kiedym piérwszy raz

weszedł przeze drzwi, nad którými „WNIJŚCIE DO HANDLU“ wydrukowano, takim sobie upodobał, iżbym tu ciągle rad pozostawał.

Jednego razu wchodzę i zastaję już za stołem kilku współbiesiadników. Było to wieczorem, dość późno prawda, bo dziesiąta uderzyła na wieży Święto-Kaźmirskiej, w Listopadzie 184... roku. Łysiny i twarze niektórych współbiesiadników błyszczały kolorami i pokostem wychylonego już porteru. U tego fajka, u tamtego dymiło się cygaro w zębach; w szklankach ostatki angielszczyzny z łakotliwą chiną dozą; szcedy domowego i piekarskiego chleba — widełce i noże — łyżki i brudne serwety na stole, dobrze zbrukany obrusem, zasłanym leżały i o spożytej już dostatecznie wieczerzy świadczyły. Dwaj z pomiędzy nich byli współobywatele moi, których nie dawno tak jak i mnie do Wilna interessa przywiodły. Trzeci ktoś nie współobywatel, oczekiwał spokojnie nim mu zapowiedziany posiłek podadzą. Była to chu-



da, małego wzrostu, przeszło trzydzieści pięć lat mieć mogąca figura. Herbowe przy ciemno-zielonym fraku guziki świadczyły, iż to być musiał przynajmniej Stołunaczelnik jaki. Otoż i ja P. Prezes do téj się przyłączyłem trójcy. O mnie, ktom jest? i jakim jest? wiesz już Czytelniku; ale tego nie wiesz, co dalej zaszło — Posłuchaj tedy!

Kiedym ja P. Prezes, przeziérał na łupkowej tablicy wypisaną listę, gotowych na usługi przybywających gości, przysmaków; weszeli ktoś zupełnie dla mnie nowy. Na głowie miał sobolową czapkę, z czarnym czwororożnym starego pokroju wierzchem. W hiszpańskim granatowym płaszczu, z pod którego, w rękę widać trzymana, wymykała się trzcina. Wszedł, jak powiadam, zdjął czapkę, odpiął pod szyją płaszcz i zrzucił go niedbale na kanapę. Potém przybliżywszy się do okna, postawił przyniesiony pod pachą jakiś półarkuszowy w ozdobnych ramach obraz, rysunkiem go do firanek na dziedziniec wy-

glądających obracając; przy nim czapkę, rękawiczki, a ze znaczącym na suchego jego mością, jakoby chciał powiedzieć wara! spójrzaniem, trzeinę położył. Uderzyło mnie nadzwyczajnie to wymowne spójrzanie i bliżej nad przybylcem, ciekawości mojej, jakim P. Prezes, zastanowić się rozkazało.

Nieznajomy ten, ze trzydzieści lat wieku mający, był słusznego wzrostu, przystojny mężczyzna, pociągłej twarzy; nos duży, nieco garbaty, czoło wzniosłe; włosy miał czarne dość starannie w górę zaczesane; policzko-brody gęste, gładkie, ciemniejszej jeszcze niż włosy na głowie, bo zupełnie kruczój maści, prawie stykały się z sobą, a przechodząc równo po szczękach, malowniczą dla czerstwój, zdrowój i jak się zdawało, szlachetnej twarzy stanowiły oprawę. Tak nazwanój, powszechnie dziś od fireyków piastowanój francuzkiej, nie nosił brody. Drożynka miała, na pół cała szerokości zaledwo mieć mo-

gąca przechodziła, od końca foremnej brody na dół, po całym gardle.

Ubrany był w czarną czemarkę, czarnymi potrzebami z wielbłądziej sierści bramowaną. Piersi białe, jak orle, kiedy go w powietrzu szybującego widzimy, wyglądały z pod czarnej atlasowej kamzelki, na której złoty łańcużek z takąż gustownie emalowaną déwizą, dobrze odbijał. Szyję miał zawiązaną szalikiem czarnym, jakby z niechcenia, w dużą kokardę. Kołnierze od koszuli po dawnemu widoczne były, bo dziś zupełnie ich nie noszą. Reszta ubrania również czarnego była koloru.

Otoż, kiedy ja P. Prezes, namyśliwszy się czémby-to po dziennych kłopotach utrudzone pokrzepić siły, przybliżyłem się do bióra panny Giertrudy, ażeby przedwstępny haust wychylić staruszki i tenże czarny nieznajomy przystąpił. Wspólnie tedy łyknęliśmy. W czasie tak uroczystej czynności, nieznajomy spojrział mi w oczy. Nigdy nie zapomnę tego spoj-

rzenia! Oczy miał ciemne — ale co to że ciemne! i ja P. Prezes, mam także ciemne i wiele ciemnych widziałem; ale wszystko-to nie to, co tego nieznanego! Średniej były wielkości; rzęsami dobrze opatrzone i zasklepione równymi, cienkimi, czarnymi brwiami. Ale wszystko-to nic! Spójrzanie ich na wskrós przejmowało. Przejmowanie zaś nie było nieprzyjemne, surowe; ale słodkie, miłe, łagodne, przyciągające. Zdawało się mówić: ludzie, bracia moi, kocham was! Poniewolnie, jednym rzutem oka, serce moje ku sobie zabrał. Dla tego-to ja P. Prezes, w takie szczegóły wdałem się o nieznanym, a żeby ostrzedz wszystkich, kogoby-to obchodzić mogło, a żeby niezupełnie w Galla, Lawatera i Szpurzhejma wierzyli. Jam się już o nieznanym, z jednego wyrazu twarzy, z jednego spójrzania, ja mówię P. Prezes i stary, na dobrą był stronę uprzedził—a rzecz się ma, jak się dowiedziałem później, zupełnie inaczej! Słuchajcie!!

Nieznajomy zapytał u panny Giertrudy—
Czy masz Imość kwasną, surową kapustę?

— Jest.

— Proszę co najwięcej!

Poszedł potém i siadł za stół, plecyma do obrazu trzećią obwarowanego. Ja P. Prezes; także około tegoż zasiadł stołu po jedną stronę, a po drugą siedział już oddawna w wice-mundurze Jegomość. Współ-obywatele odeszli już byli nie do domu, ale do przyległego pokoju, dla swobodniejszego uraczania się wzajemnie.

Naumyślnie usiadłem, jak już powiedziałem, przy czarnym nieznajomym, chcąc z nim bliżej się zapoznać; nie śmiałem wszakże, mimo to, iż byłem jaki taki P. Prezes, rozmowy zaczynać. Wzbudzał on jakieś nadzwyczajne uszanowanie ku sobie. Kiedyśmy się już przy stole umieścili, przyszła służąca, schludnie odziana, z zadartym, ostrym noskiem, dość jeszcze świeża Nasteczka. <http://rcin.org.pl> Zabrała wszystko zostawione

w nieladzie, zmiotła obrus i zapytała, patrząc całemi oczami na nieznanomego, co Panowie rozkazali? — On znowu swoje: kwaśnej kapusty co najwięcej; powtórzył; ja P. Prezes wołowej pieczeni, a bióralista grzanego piwa zażądał. Przyniesiono — pomyśliłem, iż nieznanomy musi, choć z prapradziada, od Włochów pochodzić. Rysy nawet jego twarzy, zdawały mi się teraz mieć coś w sobie ze starożytnych Obywateli Rzymu. Kiedym w ten sposób, z kapusty, o nieznanym wnioskował, wyszedł z przyległego pokoju, więcej niż średniego wzrostu, modnie odziany mężczyzna, z dużą francuzką brodą i z zawiesistemi wąsami, jeden ze wspomnionych pierwiiej upokostowanych już współ-obywateli, — skłonił się niezgrabnie i przemówił szukając w bocznej *paltonu* kieszeni: przepraszam Pana, choć rozpieczętowany, muszę mu wręczyć list od jego brata i w tém ręce z listem przeciągnął. Nieznajomy spojrzawszy na pieczęć zupełnie roz-

łamana, przebiegl oczami kilka tylko wierszy, znajdujących się w liście i wzrok swój na oddawcę obrócił. Nie był-to wzrok zwyczajny, mój Czytelniku! Jakiem P. Prezes, tak w tym nieznanym wszystkim nadzwyczajne! Byłto nie wzrok a piorun! Widać w nim było pogardę z politowaniem złączoną, za naruszenie świętokradzkie cudzej pieczęci. Oddawca, żał mi, że to był mój współobywatel i powietnik jeszcze, przemówił: Wiem Pańskie mieszkanie, będę mu służył. Dobrze, odpowiedział nieznanomy i wziął się do kapusty. Świętokradca znowu do przyległego ukrył się pokoju.

Słuszne i bardzo słuszne było nieznanomego pogardliwe spójrzenie; bo jakim P. Prezes, nie masz zbrodni, na którąby się nie odważył; nie masz grzechu, w którymby nie zasmakował człowiek, wążący się cudze listy, choćby i niezapieczetowane a do wiernych rąk złożone, odczytywać. Żał mi powietnika mojego! Boże dobry! daj mu Twoje

świętą łaskę, niechaj się w złém upamięta!

Kiedy ja P. Prezes, wśród takich rozmyślań, ukończywszy z pieczenia, kielbas i powtórny, a może po trzeci, bo co do tego ściśle nie lubię się obliczać, chyba przy zapłacie, przynieśe haust staruszki sobie rozkażalem — wytoczył się z tegoż pokoju, do którego mój powietnik weszedł, średniego wzrostu, dobrze już podtatusiały człowiek — w długim, watowanym, pod samą szyję zapiętym surducie, który mu do znacznej ciała z natury, wiecéj jeszcze objętości przydawał. Czapkę zwyczajną, sukienną i kij miał w ręku. Kij tego rodzaju, który nie wiem dla czego zwykle żydzi sprzedawcze, *palikuńczukiem* nazywają. Szedł nierównym krokiem. Twarz jego była blada, nabrzmiała; oczy zapluszczone; wargi dość grube, ociekle, które gdy mówił, osobliwie z uśmiechem, przyciągał na zęby, i tak je niemi za-

słaniał, iż mialli on zęby, odgadnąć nie podobna.

Otoż ja P. Prezes, skorom nań spójrzał; pomyśliłem sobie: jakim P. Prezes i na komedią do teatru chodzić nie trzeba! Dość jest kilka godzin przesiedzieć codzień u Panny Giertrudy. Co tu rozmaitości! Co tu charakterów! co tu karykatur!! Podług mnie, jakim P. Prezes, zbierz tylko ludzi rozmaitego stanu i powołania, niech każdy za swoje, to konieczny warunek, naelektryzuje się pieniądze, wódką, pończem, porterem, czém zeehee nakoniec, a komedia gotowa. Ekonomiczniej nawet na nią do Panny Giertrudy uczęszczać; bo za te pięć złotych, które w teatrze, Bóg wie za co, tym darmojadom, wydrwigroszom, Aktorom Niemcom, zapłacić potrzeba, można się na raz dostatecznie i nalać i napakować—a widowisko *gratis* będzie. Oj! nie darmo ja P. Prezes, na ekonomią polityczną cały rok po salach uniwersyteckich chodziłem. Ale szkoda wielka, żem na inne jesz-

cze nie uczęszczał lekcje; teraz już pod wszystkiemi względami zapóźno; a cały zasób, jak mi się zdawało nieraz ogromny, zaczerpniętej niegdyś nauki, dzisiaj już niedostateczny dla mnie. Nie mogłem bowiem z rozmowy nieznanego z przymrużonym Jegomością, o co rzecz chodziła, dokładnie wyrozumieć. A że tu, jakim P. Prezes, chodziło coś o dobro i szkody pocziwego naszego Ogółu, miałbym na sumnieniu, gdybym i nie nawet nie zrozumiałwszy, dosłownie przynajmniej, nie powtórzył. Może się znajdą tacy, którzy i zrozumieć i skorzystać, a może i mnie starego P. Prezesa, oświecić potrafią.

Otoż, jakim P. Prezes, wchodząc ów podtuptany już do pokoju naszego, z uśmiechem do nieznanego zawołał:

— A! szanownego Płomieńczyka!

— Kłaniam; jakże się masz P. Rotmistrzu? siadaj tu na kanapie; dawnożeśmy już razem nie jadali!

— Dziękuję ci mi/ tu sobie w tamtym po-

koju złożyli kompanią. Powiedzże mi szanowny Krywe-Krywejto, co porabiasz?

— Muto quadrata rotundis!

— Wyznaj sam szanowny Płomieńczyku, czy jak tam teraz Sovvenire, do czego to wszystko doprowadzi?.. Dziwna rzecz; i tu P. Rotmistrz cisnącą się na zewnątrz ślinę zemoknął ustami: dziwna rzecz, nie wierząc w nią, hymny do N. M. P. publikować!

— Zkądże wiesz? zapytał zmarszczywszy się nieznajomy, — którego, z tego com sły-
szal, nie wiem jak nazywać. Bo dziwne to
Jakieś amalgama i włoszczyzna i litewszczyzna i Bóg wie nie co! Sovvenire! wiem ci ja
wprawdzie, bo niegdyś liznałem trochę macierzystego języka, że to po włosku to samo
co *ricordo*, co *rimembranza*, a po naszymu
Pamiętka; ale familii Pamiętków ani w Polsce,
ani na Litwie, ani na żadnej Rusi, a
nawet i na Żmudzi nie słyszałem; a tum się
dowiedział, iż ma brata i to jeszcze, gdzieś
ode mnie w sąsiedztwie. Niepokoilo to mnie

bardzo, bom się za młodu parał genealogiami naszej pocziwój Szlachty; alem się uśmierzył pomyśliwszy, iż to być musi niedawno zapewne osiadły Rzymianin jakiś, a fizjonomia i kapusta w domysłach mnie utwierdzały. Niech sobie już i tak będzie! *Sovvenire* tedy, jakim P. Prezes, zmarszczony zapytawszy antagonistę, z kąd wiesz? dodał: zapewne niedyskretność ludzka, musiała ci, jak widzę, w cenzurze jeszcze będącego, do drabowania rękopisu pozwalać. Odtąd do Petersburga będę po cenzorskie *imprimatur* posyłał. Co się zaś tyczy wiary mojej, kochany Rotmistrzu, to ja całą duszą i całym sercem wierzę i wyznaję, jak wierzyli i wyznawali przodkowie moi!

— Zgadłeś; przezierałem rękopis i nie nie masz tam dobrego. Sami *ignoti nominis* pisarze.—Jacyś: Koreczak, Kurhanowski, Wołkowiński, Dybiński; czy nie drugi tom Dębińskiego co Szlegla z francuzkiego przekładu wytłumaczył? Ale twój Dybiński jeszcze gor-

szy! O innych nie ma co już i wspominać!

— A Paryżyna?.. Dębiński sumiennie przynajmniej zrobił, kiedy Paryżyny tłumacz za wielkiego anglomana, co Byrona przerabia, do dziś dnia, między niektórymi, uchodzi, nie umiejąc żadnego a żadnego po angielsku słowa. Mimo to wszystko, powiedz mój Rotmistrz, coś ty lepszego dawniej zrobił? bo dziś jesteś już *pondus iners* i *moles indigesta* wedle Nazona i nie więcej. Całe życie byłeś księgarskim wyrobnikiem i co masz z tego? Na starość przyjdzie z głodu umierać.

— Nie wyrobnikiem ale dobrodziejem!

— Zgoda, że najprawdziwszym byłeś ich dobrodziejem; ale cóż oni ci teraz za twoje dobrodziejstwa wyświadczają lub wyświadczyli? Sami z niczego, mając dobrodziejów podobnych tobie, do milionów poprzychodzili, a tobie za dzieła rocznych starań wymagające po 300 zł. honorarium! Boże ko-

chany! toż lepiej żydom w piecach palić i wodę nosić, niż dla księgarskich honorariów pracować!

— Ja dla sławy pracowałem! tobie i 300 groszy honorarium nie dadzą!

— Być może! ale nigdy się jeszcze o to i kusić nie zamyślał. Wolę być sługą Pana, aniżeli sługą sług jego.

— Coto chcesz przez to rozumieć?...

Chociaż ja P. Prezes, nie rozumiałem i połowy o co rzecz chodziła, zdawało mi się wszakże, iż jeden drugiemu dość przykro przymawiał. Ale co, jakim P. Prezes, na de wszystko mnie zadziwiło, to to, że bez najmniejszego gniewu i najspokojniej, chyba na pozor tylko, zagadkową dla mnie rozmowę prowadzili. *Sovvenire* mówił dalej:

— Publiczność czytająca, jest wielowładną panią, a księgarze najniższymi téj, niekiedy kapryśnej protektorki, sługami. Sługami zaś sług są zaprzędający pióra księgarzom pisarze. Nie zależny zaś od nich pisarz,

jest z początku nieśmiałym niewolnikiem; potem staje się wyzwoleniec, gdy do uczty swojej Pani za stół przypuszczony będzie; z wyzwolenca w plebejusze nie daleko; przy szczęśliwych okolicznościach z patrycjuszami spokrewnić się nie trudno; a potem marsz do konsulatu!.. Pasternaka księgarze chcieli niegdyś do grammatyki i dykcjonarza zaprzęgać— a teraz, patrz, Dyktatorem stał się!

Pan Rotmistrz uśmiechem wykrzywił usta, zamoknął slinę i zapytał:

— Cóż w nim osobliwego?... Witolorauda!.. Boże odpuść grzechy; to epos bezsensowne; ani jednej w niém nie masz myśli! Reszta zaś, co napisał, jeszcze gorsza od niój!

— Zapewno, rzekł Sovvenire, jeżeli będziemy zapluszczone mi patrzeć oczami, to nam wszystko inaczej, aniżeli wszystkim zdawać się będzie; osobliwie co nam już nie współczesne. Cóż robić P. Rotmistrzu! dawno już stanisławowskie minęły czasy! Dziś

inaczéj pojmują i piszą inaczéj! Z twojéj tylko decyzii pokazuje się, żeś już dawno P. Rotmistrzu, sam siebie przeżył. Wchodzę w twoje położenie i czuję bardzo dobrze, jak to być musi przykro, kiedy nowi przybysze powiadają: Posuń się! darmo miejsce zabierasz! Cóż robić? takato koléj naświeciel!

— O! co ty szanowny Plomieńczyku, to możesz być pewny, mówił zaambarasowany trochę P. Rotmistrz, iż nikt ci twojego miejsca zabierać nie przyjdzie, bo ono nie nie warto.

— Zaczynasz zrzedzić Rotmistrzu, a to się nie godzi; możemy chłodno rozprawiać. Jeżeli zaś idzie o pochwały siebie samego, jak to niegdyś za czasów twoich P. Rotmistrzu robiono, to mogę, w téj jedynie chwili, na Roterdamczyka nie dbając, powiedzieć: iż przekład *Komedii Boskiej*, choćby komu nie poślednią sławę, uczynić może.

— I cóż z téj sławy? kiedy się potrzeba do zebraniiny, drogą prenumeraty, na utrzy-

manie życia uciekać. Lepiejbyś dzierżawę wziął, to więcejby dla ciebie i dla drugich było pożytku. Młody, zdrow i silny, Pułkownikiem byłbyś już, jeślibyś od czasu wyjścia z Uniwersytetu, poszedł był do wojska. A tak, czas marnie uleciał!

— Umiem cenić przyjacielskie rady P. Rotmistrza; ale powiedz mi do czego się redukuje wszystkie zabiegi w gospodarskim lub innym jakimkolwiek zawodzie? Nie do tego, aby mieć pieniądze, a z niemi niezależne życie? Zadzierżawisz folwark—pracuj, pracuj i pracuj—użyj nie wiele, a z resztą chodź z prenumeratą po żydach. Bo cóż robić ze zbożem? Sam wszystkiego zużyć nie możesz; z resztą arędę przychodzi zapłacić, pieniędzy potrzeba. Oddajesz więc pszenicę na prenumeratę, czyli sprzedajesz, to wszystko jedno. Wtém tylko mała zachodzi różnica, iż ja za mającą się wydrukować książkę, wprzód biorę pieniądze, kiedy ze zbożem rzecz się ma inaczej—z rak do rak. Chociaż

znałem wprawdzie takich gospodarzy, co na
 pniu jeszcze będącą przedawali pszenicę, i
 to już była czysta prenumerata—a nuż chybi
 urodzaj? Tacy gospodarze trzymają się w ów-
 czas mody, dawniejszój szkoły *quoti nominiis*
 pisarzów, pieniędzy strwonionych nikomu
 nie wracają, a o pszenicę prawuj się kto zech-
 cesz. Takim sposobem ś. p. Molski 1000 czer-
 zli: zebrał z prenumeraty za przyobiecany
 przekład Eneidy; tysiące wziął, a przekład
 gdzie?.. Jego śladami poszedł w bliższych
 nam czasach sławny Fraszkarz, nie mało wy-
 ludziwszy pieniędzy, teraz wegetuje spokoj-
 nie, a Publiczność czeka i czeka. Także po-
 stąpił nasz wielkiego Szyllera naśladowca;
 rozumie się co do zatrudnień i powołania;
 bo o skutkach w obojém, wieleby do mó-
 wienia było. Także... tylko i tego może dość,
 ażeby się przekonać, iż nie ma czemu się dzi-
 wować, że Publiczność nasza tak często zdra-
 dzana, małoufną dziś być się zdaje.

Rotmistrz siedząc jak na szpilkach, uśmie-

chał się ze złości i toczącą się slinę smokował; a Sovvenire z przekąsem tak dalej rzecz prowadził:

— Co do mnie, P. Rotmistrzu, zdaje się, podejrzenia już wszelkie ustały; życzliwe P. Rotmistrza i mnie i swoich przyjaciół ostrzeżenia tu i ówdzie rozsiewane, w łeb wzięły; bo publikacja pierwsza, nie zawiodła; druga nie zawiodła; trzecia i czwarta, nie zawiodły, piąta nie zawodzi i póki nam Bóg życia dozwoli, wszystkie przez nas czynione nie zawiodą.

— Ale powiedz mi wymówny Antreprenierze w kłopotach, co z tego wszystkiego będzie?

— Będzie sława, uśmiechając się mówił Sovvenire, w pocie czoła gorzko zapracowana; będą i pieniądze, o które tak bardzo P. Rotmistrzowi, abym się ubiegał, chodzi; a co najwięcej, jeśli chcesz wiedzieć, będzie może i pożytek jakiś dla Ogółu. Bądź pewny P. Rotmistrzu, jeśli się przybiórę do wydru-

kowania przekładu Danta, to będę miał tysiące prenumeratorów, a tysiące prenumeratorów, tysiące dukatów znaczą. Wszakże tak P. Rotmistrz? ..

I nie czekając odpowiedzi, wstał P. Sovvenire, rozliczył się z panną Giertrudą, a kiedy zabierał pod pachę przyniesiony obraz, Jegomość z błyszczącymi guzikami przekręcił głowę, i aż się przechylił na krześle, chcąc zapewno dójrzeć coto był za obraz. Nie wiem czy dokazał swego, Sovvenire tymczasem wyszedł. —

Po wyjściu jego, zacząłem się ja P. Prezes, bliżej Rotmistrzowi przypatrywać. I kiedy nad tém, com słyszał i com widział, zastanawiam się: Tfu! zawołał Rotmistrz; i nie poznałem! Wszakcito JW. Prezes Spirydion Wędzega?

— Do usług, odpowiedziałem; ale jakim P. Prezes, nie mogłem sobie przypomnieć znajomości naszej z Rotmistrzem.

— Czy nie chcesz już poznać szanowny

Prezesie Gulbińskiego? Toż razemśmy do szkół chodzili! A potem tu w czasie twojego w Gubernii urzędowania... Czyżes to wszystko zapomniał?...

— Prawda, prawda! ależ jak się zmieniłeś! wprzód czerstwy i jakim P. Prezes rumiany, a teraz co z ciebie!

— Praca umysłowa P. Prezesie wycięcza siły i krew wysysa; mówił Rotmistrz potrząsając głową.

— Ehej! Nasteczka, wina! zawołałem: wypijemy szampańskiego na pamiątkę szkolnej przyjaźni!

Podano wino — wyskoczył z hukiem rozwiązany korek i w szklankach szampan zaszumiał. Pan Rotmistrz ożywiać się zdawał i przemówił: *Hic ego dux milesque bonus!* *

— Ale, ale, zapytałem zrozumiawszy cokolwiek, jakże Rotmistrem zostałeś? i

* *Tu'm żołnierz i wódz dobry!*

kiedyżeś P. Gulbiński wojskowo służył?...
Na to patetycznie zadeklamował

*Vos, signa tubaeque **

Ite procul, cupidis vulnera ferte viris;

i dodał: do-
czegoż mi wojskowa służba?

— A zkadżeś Rotmistrzem?

— Przez zamianę! lakonicznie rzekł zby-
wając i do szklanki apostrofe zwrócił.
Kiedy zaś próżną została, podsunąwszy ku
mnie, znowu ze swoją łaciną

*Adde merum, vinoque novos compece dolores, ***

wystąpił. —

Nie podobało mi się to łacińskie papla-
nie; bo prawdę powiedziawszy, zupełnie
już mi prawie Alwar, jakim P. Prezes, z gło-
wy wywietrzał i nie wszystkom mógł zrozu-
mieć; dla tego więc, nie chcąc wszakże
za nieuka uchodzić, zapytał:

* *Precz trąby, znamiona,*

Mężom wy zlakomionym niepokoście tona!

** *Dolej wina i winem uśmierz nowe bole!*

— Po kimto *novos compescere dolores?*
Czy nie po Sovvenire?

— Co! to oszust! wykrzyknął Rotmistrz,
oszust! i nie więcéj. Obaczysz jaką kurte
wykroi całej Litwie! obaczysz! Dante! je-
mu Dantego tłumaczyć!!

Jakiem P. Prezes, pomyśliłem: *in vino
veritas*, a zatém Rotmistrza prawda być
musi. Ale poczekaj, P. Sovvenire! nie uda
się sztuka! opiszę cię! jak rudą mysz, jak
węża, jak złamanego szeląga wszyscy po-
znają. Opiszę! opiszę najpewniéj i wydru-
kuję! Bo czyż Święci garnki lepią? Ażebym
nawet śmieléj wystąpił z piérwszém dzie-
łem, poproszę Rotmistrza, on nie poleni
się poprawić. Wzamiarze więc zaskarwienia
iask P. Rotmistrza dla siebie, jakiem P. Pre-
zes, hej! Nasteczko, jeszcze butelkę! zawo-
lałem.

Podano — uderzyliśmy w szklanki —
niech żyje dawna przyjaźń! — Ja, P. Pre-
res, mając na myśli i dobro Ogólu i przy-

szle moje autorstwo, zaczępilem jeszcze P. Rotmistrza o *Sovvenire*.

— To oszust! — zawołałwszy znowu, przydał: — dla czegoż zawsze *Infandum* Prezesie *jubes renovare dolorem*? * Ja radbym zapomniał, a ty w oczy z nim ciągle mi leziesz; *Odi profanum vulgus!* ** Ja kiedy, P. Prezesie, piję szampańskie, przyznam się, lubię wówczas obserwować, jak ono lekko upaja — *hic ego dux milesque bonus!*

I do pustej już przymokiwał szklanki, tak jakto piastunki do niemowląt zwykle robią, chcąc uśmiech na drobne ich przywołać usteczka. Wtém wyszedł Świętokradca z przyległego pokoju, znajomy nam dobrze, wołając:

— Cóżto znaczy Rotmistrzu, zapomniałeś o nas?

— Zaraz, tylko tu z JW. Prezesem załatwimy interes.

* Prezesie! każesz wznowić niewymowną żalność

** Precz stąd, precz, niepoświęceń!

Precz stąd jak bydlę ze szkody —

Zrozumiawszy, iż to do reszteków w butelce jeszcze pozostałych odnosiło się, nalałem w szklanki i ze wzajemnym koehajmy się! wypróżniliśmy.

Poszedłem potem do drzemiącej już P. Giertrudy; obliczyłem się, a razy kilka pokręciwszy głową i na kilka dni mogącą mi wystarczyć do zwyczajnego życia, kwotę pieniędzy zapłaciwszy, wyszedłem z handlu.

Za powrotem do domu, zawolałem na człowieka: Janie! rozbierz mnie; daj dwie świeće, kilka piór, atramentu i pół libry, nie! librę całą, jakim P. Prezes papieru!

— Dobrze panie! odpowiedział i po chwili wszystko już miałem przygotowane.

— Idź spać! powiedziałem do służącego a sam wziąłem się do pisania.

Nie chciałem, mój dobry Czytelniku, odkładać na jutro tego co mogłem dziś wykonać; a bardziej bałem się, jakim P. Prezes, powiem otwarcie, aby mi alfreska

w pamięci mojej nie pozacierały się. Bardzo mi zaś o to, jakim P. Prezes, chodziło, aby Ci szanowny Czytelniku, ile możliwości wierne przerysy uczynić. Jak dokazałem tego, sam zechciej łaskawie osądzić.

Kiedy już te moje ostatnie piszę wyrazy, dzień biały w okna zaziera — słabo mi się zrobiło — na spoczynek udać się muszę. Bądźże mi zdrów, Czytelniku łaskawy! Pamiętaj na przestrogę co do Pana Souvenire, że to oszust! Oszust! o... osz... szust!!



Świstek A, ZAWIERA:

Ogłoszenie	str. 5.
Prośbę	— 11.
Przerys Alfresków	— 17.

ŚWISTEK

Uwiedomienie.



WW. i JWW. uczestniczyć chcący w świstaniu po Wileńskich ulicach, pokornie się upraszają o jednoczenie się podług adresu jaki i Tygodnik Petersburski i Swistek A. ogłosił i jaki w Kurierze Wileńskim wskazany został. —

SWISTEK A. i B. ktoby mieć zechciał, raczy się udać wprost do którejkolwiek Księgarni — Cena każdej z osobna książeczki złt. 3. gr. 10. — Prenumerować zaś można tak w księgarniach jak i u WYDAWCY — 10 książeczek od A. do K. za złt. pol. 20.

Listę SZANOWNYCH PRENUMERATORÓW dalsze dopięro SWISTKI cieszyć się będą.

Wydawnictwo

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-68



<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTEKA IBL

F. 4067

A - B